

Zielone na złote i z powrotem

Zielona energia rozpala polskich polityków do czerwoności. Nic dziwnego – chodzi o konkretne pieniądze. Dla konkretnych ludzi.

ADAM GRZESZAK

Elektrownia wiatrowa w województwie pomorskim

Niedawno pani premier wmurowała kamień węgielny pod budowę nowych bloków w Elektrowni Opole. Dzięki takim inwestycjom – mówiła – oraz osiągnięciom szczytu klimatycznego Polacy mogą czuć się bezpiecznie, również w zakresie cen energii elektrycznej. Opole to sztandarowa inwestycja III RP, największa powstająca w Europie elektrownia na węgiel kamienny. Decyzję o budowie wymusił na Polskiej Grupie Energetycznej (PGE) Donald Tusk, choć jej sens ekonomiczny budzi wątpliwości. Kiedy już powstanie, nie wiadomo, czy produkcja energii będzie tu opłacalna. Mimo kompromisu na niedawnym szczycie klimatycznym, w Europie przyszłość energii z węgla kamiennego rysuje się w coraz ciemniejszych barwach. A tej z polskiego węgla w wyjątkowo czarnych.

Donald Tusk zostawia swej następczyni nie tylko rozgrzebany gigantyczny plac budowy energetyki konwencjonalnej o wartości ponad 100 mld zł, ale także bałagan w energetyce odnawialnej. Wszystko dlatego, że od czterech lat nie udaje się stworzyć ustawy o odnawialnych źródłach energii (OZE), która ma określić, na jakich warunkach będą wspierane nowe inwestycje w zielonej energetyce. To w dużym stopniu efekt poglądów premiera Tuska na tę branżę, które można delikatnie określić jako sceptyczne. Nigdy nie ukrywał, że bardziej wierzy w węgiel, gaz i atom niż w wiatr, słońce czy biomasę.

Wykonamy w dziedzinie OZE tyle, ile wymaga UE i ani promiła więcej. Niech Niemcy robią u siebie rewolucję energetyczną (*Energiewende*), nas na to nie stać. My mamy węgiel, a być może i gaz. „Ratujemy dla polskich rodzin miliardy złotych” – przekonywał. Jak każdy premier patrzył na energetykę oczami wielkich, państwowych koncernów. Wiadomo, że w Polsce nie da się dyskutować z energetykami. To oni rządzą. Hasło „bezpieczeństwo energetyczne” zamyka usta każdemu politykowi.

Niechęć Tuska

OZE uwierają państwową energetykę jak kamienie w butcie. Padają zarzuty, że destabilizują system energetyczny, bo wiatraki kręcą się, kiedy chcą, a nie kiedy trzeba. Niepotrzebnie mnożą koszty, bo trzeba tworzyć rezerwowe źródła energii na wypadek kaprysów pogody. Ale co zrobić, jeśli mamy politykę energetyczno-klimatyczną UE? Przedstawiciele koncernów są gotowi ją zaakceptować pod warunkiem, że sami będą kontrolować OZE i zarabiać na nich. Dlatego wypychają z rynku niezależnych producentów, dążąc do przejęcia całej branży i przeznaczonych dla niej pieniędzy.

Niechęć Tuska do zielonej energetyki to także efekt wpływu, jaki mieli na niego dwaj doradcy i przyjaciele. Najważniejszym był Jan Krzysztof Bielecki, szef Rady Gospodarczej, którego premier zrobił nieformalnym ministrem energetyki, w randze nieformalnego wicepremiera. Jego zastępcą był minister Adam Jasser, dziś szef UOKiK. Bielecki i Jasser wraz z grupą młodych ekspertów z Kancelarii Premiera decydowali o energetycznych losach Polski. Ważnym doradcą premiera był przyjaciel z dawnych lat Krzysztof Kilian, który kierował Polską Grupą Energetyczną do czasu, kiedy zaczął kwestionować sens budowy Elektrowni Opole. Nie wiadomo, czy energetyczny ośrodek decyzyjny pozostanie w Kancelarii Premiera. Kilian edukuje dziś menedżerów, Bielecki – jak słycać – szuka nowego zajęcia. Sprawy OZE wracają więc pod skrzydła szefa ludowców, ministra gospodarki, wicepremiera Janusza Piechocińskiego. A to może być już niebezpieczne.

Niektórzy współpracownicy Donalda Tuska przekonują, że jego niechęć do zielonej energetyki wynikała też z faktu, że prace nad ustawą o OZE zmobilizowały armię lobbystów – i tych z otoczenia polityków PO i PSL, i tych związanych z biznesem – a na tym

punkcie Tusk jest chorobliwie czuły. Na dodatek w branży sporo jest zagranicznych firm. Premier uważał, że pieniądze wydawane na subsydiowanie zielonej energii nie powinny wypływać z Polski. Dlatego w pewnym momencie przerwano prace nad ustawą o OZE i zapadła decyzja, by napisać ją na nowo w taki sposób, żeby finansowy kurek został mocno przykręcony.

Wyciskanie kasy

Pieniądze do zielonej energetyki płyną kilkoma strumieniami. Budowa instalacji dotowana jest z pieniędzy krajowych (Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej) i unijnych (głównie z programu Infrastruktura i Środowisko). Główny strumień pochodzi jednak z naszych kieszeni i służy dotowaniu produkcji energii. Zależnie od potrzeb wymienia się tu różne kwoty, często astronomicznie wysokie. Z danych Urzędu Regulacji Energetyki wynika, że w ubiegłym roku było to ok. 3 mld zł. Ale to był szczególnie, dość tani rok. Zwykle bywało więcej – 4–5 mld zł. Mieliśmy je doliczone do rachunków za energię elektryczną.

Wprowadzony w 2005 r. system opiera się na handlu tzw. zielonymi certyfikatami, czyli świadectwami pochodzenia energii ze źródeł odnawialnych: z elektrowni wodnych, wiatrowych, fotowoltaicznych, ze spalania biomasy albo biogazu. Certyfikat otrzymuje każdy producent za wyprodukowanie i sprzedaż do sieci jednej megawatogodziny (MWh). Kupują je dystrybutorzy energii zaopatrujący odbiorców końcowych, w tym i nasze domy. Każdego roku prezes URE wyznacza, jaki udział w ich dostawach ma mieć zielona energia. Z roku na rok jest on większy. W tym roku jest to 12,9 proc., a do 2020 r. musimy dojść do wymaganego unijnego minimum – 19,3 proc. (choć w ogólnym bilansie energetycznym, uwzględniającym także produkcję ciepła i biopaliw, naszym celem krajowym jest 15 proc.). Dowodem wykonania zielonego obowiązku są certyfikaty przekazywane prezesowi URE do umorzenia. Inaczej za każdą brakującą „ekologiczną” megawatogodzinę płaci się opłatę zastępczą (w tym roku 300 zł/MWh). Nikt dziś tego nie robi, bo rynkowa cena zielonego certyfikatu jest dużo niższa (ok. 170 zł/MWh).

Producenci zielonej energii sprzedają ją po cenie rynkowej (mają przy tym gwarancję, że nie spadnie ona poniżej średniej ubiegłorocznej). Sprzedaż certyfikatów jest dla nich dodatkowym źródłem dochodów. Korzystają też z innego przywileju: zielona energia musi trafiać do sieci w pierwszej kolejności.

System wsparcia ma służyć wyrównywaniu szans zielonej energii w konfrontacji z czarną, węglową. To akceptowana przez UE forma pomocy publicznej, której celem jest doprowadzenie OZE do takiego poziomu ekonomicznej dojrzałości, by mogły samodzielnie konkurować z tradycyjną energetyką, a kiedyś ją zastąpić. To nie tylko walka o klimat, ale i uniezależnienie się Unii od importu paliw kopalnych. Taka jest ideologia.

Energia czarno-zielona

W praktyce jednak wszyscy zależni są od zielonych certyfikatów. Obecny niski kurs to efekt nadpodaży. Branża OZE domaga się interwencyjnego skupu certyfikatów przez państwo, przekonując, że obecne ceny podkopują ekonomiczny sens zielonej energetyki, zwłaszcza tej zaawansowanej technologicznie i wymagającej większych nakładów.

Szczególnie aktywnym krytykiem jest branża wiatrowa. To największy sektor OZE, jaki w ostatnich latach wyrósł w Polsce. Kręci się już 2300 turbin o łącznej mocy 3,7 tys. MW, mimo to z ogólnej puli wydanych certyfikatów na wiatraki przypadło zaledwie 15 proc. Dlaczego? Bo ekologiczna energia rodzi się dziś głównie w wielkich... węglowych kotłach państwowych elektrowni. Jakim cudem? Poprzez mieszanie węgla z różnymi zielonymi dodatkami: drewnem, pelletą (granulatem roślinnym), słomą, łuskami słonecznika, a nawet łupinami kokosa. Producent tej energii ma prawo do zielonych certyfikatów w takiej części, jaki udział miał roślinny dodatek. Brzmi to jak żart, bo w imię ochrony klimatu płyną do Polski z Afryki łupiny kokosa, z Ukrainy jadą

słonecznikowe łuski albo rąbane są polskie lasy (na szczęście, po protestach, status biomasy odebrano pełnowartościowemu drewnu). Potem się tym wszystkim pali w elektrowniach. A my za to płacimy.

Jaki to ma sens? Statystyczny, bo dzięki temu możemy się chwalić, że już 12 proc. energii mamy z OZE. Tyle że połowa to efekt współspalania biomasy z węglem. Państwowi energetycy bronią tego zaciekle, przekonując, że inaczej Polska nie spełni wymagań UE. Wśród obrońców jest też wielu przedsiębiorców wyspecjalizowanych w handlu biomasą. Państwowe elektrownie kupują ją zwykle poprzez tajemniczych pośredników i dostawców. Mieliśmy tu już rozmaite afery z politykami w tle. Najgłośniejsza dotyczyła związków posła Jana Burego (PSL), wówczas wiceministra skarbu nadzorującego branżę energetyczną, z przedsiębiorcami dostarczającymi biomasę do Elektrowni Koźienice.

Z oskarżeniami jako pierwszy wystąpił Janusz Palikot, który jest wielkim orędownikiem OZE (Twój Ruch szuka nowych pomysłów wśród ekologów). Oskarżył Burego, że spółka Tarnawa, kierowana przez jego biznesowego wspólnika (byłego działacza Związku Młodzieży Wiejskiej), jest głównym zaopatrzeniowcem Koźienic w biomasę. Sam Bury inwestował w 2011 r. w spółkę SO-RES, która natychmiast rozszerzyła działalność o handel biomasą. Bo na biomasie wyrosła już niejedna fortuna. – *Produkuję biomasę leśną, ale całość eksportuję do Niemiec. Próbowałem oferować ją polskim elektrowniom, ale poradzono mi, żebym dał sobie spokój, jeśli mi życie miłe* – zdradza jeden z przedsiębiorców.

Wojna o OZE

W 2011 r. rozpoczęto pracę nad nową ustawą o OZE. Bezpośrednim powodem była konieczność dostosowania polskiego prawa do dyrektywy UE z 2009 r. Z powodu opóźnień groziły nam kary. Przy okazji postanowiono zmienić system wsparcia energetyki odnawialnej.

Tak zaczęła się trwająca do dziś wojna, w której walczą wszyscy ze wszystkimi. Projekt ustawy zakładał modyfikację systemu zielonych certyfikatów na sprawiedliwszy. Wymyślono przeliczniki, np. megawatogodzina ze współspalania biomasy miała zapewniać 0,3 certyfikatu, a z instalacji fotowoltaicznej – 2,8, bo to kapitałochłonna, ale zaawansowana technologia. Wiatrak na lądzie – 0,9, ale na morzu – 1,8. Tworzono długie tabele, spierano się miesiącami, bo każda cyfra po przecinku oznaczała miliony, zarobione lub stracone przez konkretnych inwestorów. A często przesądzała o opłacalności inwestycji.

Na fali była energetyka fotowoltaiczna. Dziś w Polsce marginalna, miała dorobić się godnego udziału w bilansie energetycznym. Była to zasługa ówczesnego ministra gospodarki Waldemara Pawlaka, entuzjasty OZE, a szczególnie energii słońca. Jedni tłumaczyli to jego inżynierskimi fascynacjami, inni wiarą, że wyrastające na nieużytkach farmy słoneczne dadzą rolnikom dodatkowy dochód. Jeszcze inni wskazywali na bliskie kontakty z firmami z branży solarnej, zwłaszcza z Chin.

Firmy te były tak pewne sukcesu, że szykowały już u nas montownię paneli. Okazało się – niepotrzebnie. Pawlak stracił władzę w PSL i posadę w rządzie. Dziś jako poseł uczestniczy w pracach nad ustawą o OZE, planuje też jako przedsiębiorca inwestycje energetyczne. Perspektywa wielkiego solarnego boomu bardzo się oddaliła. Politycy boją się powtórzenia scenariusza czeskiego. Tam nadmierne wsparcie dla fotowoltaiki doprowadziło do powstania bardzo wielu kosztownych farm słonecznych, choć Czechy nie są skąpanym w słońcu krajem śródziemnomorskim.

Na fali były też morskie farmy wiatrowe, inwestycje bardzo skomplikowane i drogie, ale stanowiące potencjalnie cenne źródło zielonej energii (i certyfikatów). Postawił na nie Jan Kulczyk, a jego spółka Polenergia, nie czekając na uchwalenie ustawy, rozpoczęła przygotowania do budowy pierwszej farmy na Bałtyku. Tym śladem zamierzały też pójść państwowe koncerny, ►



© SPL/EAST NEWS

W Polsce energetyka fotowoltaiczna to dziś margines. Tu farma słoneczna we francuskim Mees.

► PGE i Orlen, bo Kulczyk lubi działać wspólnie z państwem. Inwestorzy, pewni sukcesu, wydali ok. 250 mln zł na przygotowania do budowy sztucznych wysp i wielkich wiatraków, a najwięcej Polenergia. W sumie miały powstać instalacje o mocy ok. 9 tys. MW. Wiele wskazuje, że utopili pieniądze. Morskie farmy długo nie powstaną, choćby dlatego, że na Wybrzeżu nie ma odpowiedniej sieci przesyłowej i długo nie będzie. Jednak główną przeszkodą okazało się to, że w pracach nad ustawą wiatr zaczął wiać z innego kierunku.

Aukcje zamiast certyfikatów

Po trzech latach projekt ustawy trafił do kosza. Żeby Bruksela przestała nas straszyć sądem, przygotowano i przegłosowano szybką protezę, wprowadzając do prawa energetycznego kilka drobnych, ale koniecznych regulacji dotyczących energetyki odnawialnej. I zaczęto wszystko od początku.

Stworzeniem nowego systemu finansowania OZE zajęło się nieformalne ministerstwo energetyki w Kancelarii Premiera, choć oficjalnie cała sprawa nadal pozostawała w kompetencji ministra gospodarki. Wszystko dlatego, że premier przypomniał sobie o energetyce. Polska zaczęła żyć gazem łupkowym i wielkimi elektrowniami, łącznie z atomową, które musimy na gwałt zbudować. Mamy więc spore wydatki, dlatego twórcy nowej ustawy dostali instrukcję, by na OZE zaoszczędzić.

– *Chcemy o połowę ograniczyć obecny koszt wsparcia OZE* – deklaruje poseł Andrzej Czerwiński (PO), przewodniczący sejmowej komisji nadzwyczajnej do spraw energetyki i surowców energetycznych. Poseł nie chce zdradzić historii powstania nowej ustawy, ale przyznaje, że koordynacją zajmowała się Kancelaria Premiera. – *To naturalne, bo konieczne było uzyskanie kompromisu kilku resortów: gospodarki, odpowiadającej za politykę energetyczną, skarbu, któremu podlegają państwowe spółki energetyczne, i finansów, bo chodzi o publiczną kasę.*

W pracach uczestniczyło też Ministerstwo Środowiska, odpowiadające za politykę klimatyczną, i resort rolnictwa, żywo zainteresowany rozwojem agroenergetyki. Bo minister rolnictwa Marek Sawicki jest entuzjastą małych wiejskich biogazowni, produkujących gaz z odpadów roślinnych i zwierzęcych. Wykorzystuje się go do generatorów prądu. Wieś ma obiecane z funduszy unijnych 5,2 mld euro do 2020 r. na instalacje OZE. Jest o co walczyć.

Nowa ustawa zakłada zastąpienie zielonych certyfikatów aukcjami, podczas których inwestorzy mają licytować gotowość wybudowania instalacji i produkcji określonej ilości energii. Wygra ten, kto zaoferuje najniższą cenę. Otrzyma gwarancję zakupu na 15 lat, z ceną waloryzowaną co rok o wskaźnik inflacji, co pozwoli mu uzyskać bankowy kredyt. Ci, którzy korzystają już z zielonych certyfikatów, mogą zostać przy obecnym systemie albo przejść do nowego. W obu przypadkach po 15 latach od uruchomienia instalacji wsparcie się skończy.

– *Problemem systemu zielonych certyfikatów jest niedostosowanie poziomu wsparcia do rzeczywistych potrzeb. W wielu przypadkach jest ono nadmierne, co oznacza niepotrzebnie wydane pieniądze. Na dodatek można go nazwać „ślepy”, bo każdy producent, niezależnie od stosowanej technologii, otrzymuje tyle samo. Zaletą nowego systemu jest jego elastyczność i oszczędność* – wyjaśnia Janusz Piliński, dyrektor departamentu energii odnawialnej w Ministerstwie Gospodarki.

Aukcje mają być organizowane dwa razy do roku, oddzielnie dla rozmaitych typów instalacji OZE. Państwo chce w ten sposób sterować rozwojem zielonej energetyki, ustalając, kto i ile będzie mógł wytworzyć i sprzedać energii. System jest skomplikowany i narusza dotychczasowy układ. Więc znów mamy wojnę – lobbying, protesty organizacji branżowych, akcje polityków. – *W nowym systemie nie zmieści się większość projektowanych farm wiatrowych. Inwestorzy chcieliby wybudować nowe instalacje o mocy 20 tys. MW, ale w polskim systemie energetycznym miejsce jest jeszcze dla 3 tys. MW. Więcej nie można, energia wiatrowa jest zbyt niestabilna* – deklaruje poseł Czerwiński. Choć wojna o OZE daleka jest od finału, obiecuje, że ustawa zostanie uchwalona do końca roku. A on wtedy zdradzi historię jej powstania.

PiS walczy z wiatrakami

Sprawa jest delikatna, bo PiS zarzucił niedawno, że projekt pisali lobbyści. „Ta ustawa ma zdecydować o przyszłości, o naszym bezpieczeństwie energetycznym i o kilkudziesięciu miliardach, które mogą trafić do kieszeni obywateli lub do wielkiego biznesu, który w dodatku nie jest biznesem polskim” – grzmiła posłanka Anna Zalewska, animatorka wojny z wiatrakami, kierująca zespołem parlamentarnym do spraw energii wiatrowej bezpiecznej dla ludzi i środowiska. Zespół

niemal w całości składa się z członków PiS, jest tu nawet Antoni Macierewicz. Jego członkowie przekonują, że generatory wiatrowe stoją zbyt blisko domów i szkodzą mieszkańcom. Powstał nawet projekt radykalnej ustawy antywiatrakowej, która praktycznie sparaliżowałaby działalność tego sektora OZE.

Dlaczego PiS walczy z wiatrakami? Jest kilka powodów. Jednym z nich jest wiara, że Polska powinna zamiast na wiatr postawić na ciepło polskiej ziemi, czyli na energetykę geotermalną. Orędownikiem tego kontrowersyjnego poglądu jest radiomaryjna grupa posłów z prof. Mariuszem-Orion Jędryskiem na czele. Profesor jako Główny Geolog Kraju przyznał ojcu Rydzkowi koncesję na poszukiwanie źródeł geotermalnych.

Jednak walka z wiatrakami ma też powód bardziej prozaiczny: zagospodarowanie niezadowolonych wsi tam, gdzie doprowadziły one do lokalnych konfliktów. Instalacje wiatrowe niektórym zapewniły dobrobyt, ale innym uprzykrzają życie. Niedawna kontrola NIK pokazała, że w wielu gminach na wietrze zarabiają urzędnicze sitwy. – *Uderzenie w farmy wiatrowe to sprytne posunięcie* – przekonuje jeden z ekspertów. – *W wiejskich gminach rządzi PSL, a farmy wiatrowe nie tylko dają niezłe zarobić ludowym działaczom, ale są często ważnym płatnikiem podatków lokalnych. Wojna z wiatrakami jest więc wojną PiS z PSL.*

Zielona strona mocy

W samym PSL sprawa OZE też jest przedmiotem ostrej walki. Ścierają się interesy czołowych działaczy – Pawlaka, Kalinowskiego, Burego, Sawickiego. Pawlak kojarzony jest z fotowoltaiką i wiatrakami, Kalinowski i Bury z biomasą, Sawicki z biogazem. Jednym z zarzutów wobec prezesa Piechocińskiego jest to, że przejmując po Pawlaku Ministerstwo Gospodarki, doprowadził do utraty kontroli nad ustawą o OZE i żyruje niechętną zielonej energii politykę PO. Grupa Pawlaka na posie-

dzeniu Rady Naczelnej PSL próbowała przeprowadzić uchwałę przeciw budowie elektrowni jądrowej (firmowanej przez resort Piechocińskiego) i za „przekierowaniem wszystkich środków finansowych z energetyki atomowej na zwiększone inwestycje w odnawialne źródła energii”. A środki na planowaną elektrownię atomową są niebagatelne, bo szacowane na 60–70 mld zł. Tyle że to są pieniądze na razie wirtualne. Pojawia się, jeśli banki zgodzą się udzielić PGE kredytu na budowę elektrowni jądrowej. Ale branża OZE jest przyzwyczajona do dzielenia pieniędzy także wirtualnych.

PSL domaga się od koalicjanta – jak mówi Pawlak – „przejścia na zieloną stronę mocy”. Chodzi m.in. o zablokowanie importu biomasy, która psuje polskim rolnikom rynek, jak górnikom rosyjski węgiel. Energetyka nie chce o tym słyszeć. Tłumaczy, że import jest konieczny, bo polska wieś jest zbyt rozdrobniona i nie gwarantuje pewnych i stałych dostaw dużych ilości biomasy. Dlatego premier Tusk odrzucił pomysł PSL dodatkowego wspierania produkcji biomasy w kraju.

PO trzyma się linii Tuska: troszczymy się o interesy państwowych koncernów energetycznych i robimy w sprawie OZE tylko tyle, ile musimy. Koncerny zaś żądają utrzymania współspalania jako formy OZE. Protestują przeciw temu Zieloni i ekolodzy (złożyli nawet skargę do Brukseli). Trwają więc prawnicze łamańce, że zrezygnujemy ze współspalania, ale w niektórych instalacjach będzie to możliwe (podobno tylko kilkunastu). Linia Tuska w kampanii samorządowej miała w sobie kobicą troskę Ewy Kopacz i była reklamowana hasłem „energia przyjazna dla portfela”. Czyli ciepła woda w kranie i tani prąd w gniazdku. Bez roztrząsania, na ile to ciepło i prąd są zielone, a na ile nie. Wkrótce się okaże, czy rząd będzie miał dość siły, by okiełznać nieopanowane parcie do zamiany zielonego na złote.

ADAM GRZESZAK

REKLAMA